

— No, cóż masz za interes do mnie, o tej porze?
— Chciałem panu hrabiemu coś powiedzieć.
— Cóż takiego?

Ziewając, usiadł hrabia na krześle i założył nogę na nogę. Jan począł chrząkać, wreszcie rzekł:
— Chodzi tu o tajemnicę pana starszego.

— Oj, cóż to za tajemnica?

— W piwnicach tego zamku więzi pan hrabia jakiegś człowieka i to od wielu, wielu lat.

Hrabia słuchał z natężoną uwagą.

— Bajesz, Janie. Któżby mógł być tym więźniem?

— Dokładnie nie wiem, ale zdaje mi się, że to jest kobieta, którą jaśnie pan starszy trzyma w więzieniu; opiekuje się nią panna Ernestyna.

Hrabia zerwał się, chwycił biednego kamerdynera i krzyknął:

— Słuchaj, człowiecze, jeśli te podejrzenia okazały się bezpodstawnymi, wówczas biada ci!

— Powiedziałem prawdę, a pan hrabia może się o tem osobiście przekonać.

— Rzeczywiście, Janie?!

Puścił kamerdynera i usiadł znowu na krześle. W umyśle jego odżyło jakieś wspomnienie z lat dawnych. Jako kilkunastoletni chłopak zbłądził raz w lesie i przyszedł do zamku bardzo późno, już po północy. Wtedy ujrzał, że w jednej z piwnic błyska jakieś światło. Zaciekawiony, co by to było, ukląkł na ziemi i usłyszał jakieś głuche jęki, rozlegające się po piwnicy. Na drugi dzień opowiedział o tem ojcu, który zbłądził w tej chwili, ale zaraz się opamiętał i zagroził mu, że dostanie porządna nauczkę, jeśliby choć słówkiem wspomniał kiedy jeszcze o tej „głupiej bajce“.

— Nie mogę przecież pozwolić na to — mówił mu wtedy ojciec — ażeby z powodu twoich zwińdeń ludność okoliczna uważała mój zamek za jakieś schronisko widziadeł, duchów i straszyleł.

I stary hrabia uspokoił się dopiero wtedy, kiedy mu Jan uroczyście przyrzekł, że nikomu ani słowa nie wspomni. Stosownie do tego przyrzeczenia, Jan przestał też o tem myśleć i wkrótce o wszystkim zapomniał. Doniesienie kamerdynera przypomniało mu dopiero tę historię ze wszystkimi szczegółami. Zdawało mu się, że słyszy jeszcze ten ludzki głos, te narzekania i jęki, jakie onej nocy usłyszał.

— W jakim sposób dowiedziałeś się o tej tajemnicy? — zapytał wreszcie kamerdynera, siłąc się na spokój.

— Wróciłem raz do pałacu późno w nocy. Wszystkie drzwi były zamknięte, tylko w lewym skrzydle zamku ujrzałem jedno okno otwarte. Przelazłem przez nie i tylnymi schodami wyszedłem do tej części pałacu, w której nikt nie mieszka. Właśnie przechodziłem przez główny kurytarz, kiedy nagle z prawej strony błysło jakieś światło. Ukryłem się w niszy i zobaczyłem krótko, jak koło mnie przeszła panna Ernestyna. W jednej ręce miała ślepą latarkę, w drugiej koszyczek, nakryty serwetą. Z ciekawości poszedłem cichutko za nią aż ku drzwiom, które ona zapomocą klucza otworzyła i znikła za nimi. Po kilku sekundach poszedłem za nią, ale drzwi były zamknięte.

— W każdym razie jest to ciekawa historia — przerwał mu hrabia — jednak nie upoważnia cię ona jeszcze, aby do nocnych wycieczek panny Ernestyny przywiązywać takie znaczenie, jak ty to zrobiłeś.

— Nie, jaśnie panie. Ja śledziłem ją kilka razy, bo zawsze szła tąsamą drogą. Pewnego razu jednak nie zamknęła za sobą drzwi, tak, że mogłem się za nią wcisnąć i stanąłem na schodach, prowadzących w górę.

— No, i cóż tam znalazłeś?

— Doszedłem za nią do drugich drzwi, których ona już zamknąć nie zapomniła. Nie mogłem więc nic widzieć, ale słyszałem rozmowę, która mi każała przypuszczać, że jest tak, jak jaśnie panu mówiłem.

— Jak to dawno było?

— Mniej więcej przed sześciu tygodniami. Od tego czasu więcej jej już nie śledziłem.

— Czy mówiłeś już komu, jakie masz podejrzenia?

— Nie, jaśnie panie.

— Czemużeś milczał tak długo?

Jan wzruszył ramionami.

— Powiedziałem sobie, że moja niedyskrecja może mnie narazić na utratę miejsca.

— A cóż cię skłoniło do tego, aby mnie o tem wszystkim uwiadomić?

— Jaśnie pan hrabia starszy kazał mojemu ojcu wynieść się z leśniczówki, wyrzucił go ze służby, a przeciw służył mu wiernie przez tyle lat. Postanowiłem więc, bez względu na niebezpieczeństwo, opowiedzieć tę tajemnicę jaśnie panu.

— Toś dobrze zrobił — rzekł hrabia z żywością — i jeżeli się przekonam, że to, coś mi powiedział, jest prawdą, to nie będiesz żałował swojej wobec mnie niedyskrecji.

Spojrzał na zegar.

— Minęła właśnie jedenasta. Jak sądzisz, czy możnaby się od razu wybrać za panną Ernestyną?

— Musimy jeszcze chwilę poczekać, bo nie widziałem jej nigdy przed dwunastą.

— Lepiej chwilę zaczekać, aniżeli przyjść za późno.

Hrabia udał się do przyległego pokoju i wyszedł po chwili przebrany, w kapeluszu i z laską.

— No, chodźmy.

Obydwaj wyszli z pokoju. Doszli do niszy, o której mówił kamerdyner i stanęli na czatach. Czekali już dobre pół godziny, gdy usłyszeli wreszcie ciche kroki, a po chwili przesunęła się przed ich oczyma kobieta, oświetlona mdłym światłem ślepej latarki. Obydwaj odetchnęli i ostrożnie, na palcach, posunęli się za nią. Była to Ernestyna. Stała właśnie przed drzwiami, wiodącymi do schodów



...Ujęła prawicę chorego i rzekła wśród łez: „Przebaczam ci! Oby ci Bóg przebaczył!“.

i odmykała je. Jeszcze się z tem nie załatwiła, kiedy hrabia nagle ku niej przyskoczył i chwycił z wściekłością za ramiona.

— Kobieto, dokąd to idziesz?! — zagrmiał jej nad uszami.

Ernestyna patrzyła nań przerażona.

— A teraz, naprzód, prowadź mnie do swej ofiary, nędznico!

Próbowała wyrwać się z silnych ramion hrabiego, usiłowała jako reprezentantka domu stawić opór „młodemu panu“, ale nie potrafiła nawet mówić do rzeczy, poczęła jeno coś bełkotać, gdy hrabia wyciągnął rewolwer i skierował go ku jej piersi.

— Przekłeta gadzino! — zawołał — długo służyłaś za narzędzie w ręku łotra; teraz karząca Nemesis zaczęła tu panowanie i jeżeli w tej chwili mnie nie usłuchasz, to ci roztrzaskam ten łeb potworny!

To przełamało opór grubej megery. Nie opierając się więc, nie mówiąc ani słowa, otworzyła drzwi i szła z latarką naprzód.

W kwadrans może później na schodach ukazały się cztery osoby. Mianowicie hrabia prowadził pod

rękę wychudłą kobietę, której białe jak śnieg włosy, głęboko zapadłe oczy i popielata prawie barwa twarzy wskazywały przecierpiane bóle długoletniego więzienia. I gdyby tam była pokojówka Klara, byłaby w niej rozpoznała owego upiora, z którym spotkanie stało się przyczyną jej nieśczęścia.

Powoli posuwała się ta mała grupka ludzi po długich, cichych kurytarzach pałacu, zdążając do apartamentów hrabiego Jana. Ernestyna i kamerdyner mieli jeszcze dużo bieganiny, wypełniając rozkazy młodego pana, przychodzili i odchodzili, przynosili wodę, odzienie, potrawy i rozmaite środki pokrzepiające, których w pałacu było podostatkiem. Już prawie dzień zaczynało, kiedy nareszcie hrabia rozkazał im odejść, napominając, by o tem, co się tej nocy stało, nikomu nic nie mówili; równocześnie oznajmił im hrabia, że odtąd będą oboje wyłącznie na usługi uwolnionej z więzienia. Następnie, zamknawszy starannie drzwi, udał się do przyległego pokoju na spoczynek.

Upłynęło dwa dni. Obecności obcej jakiej istoty, którą się w nadzwyczajny sposób opiekowano, w zamku nikt nie wiedział. Bo też po za wtajemniczonymi nikomu nie wolno było wchodzić do pokoiów, które zamieszkiwała teraz była niewolnica hrabiego Mironneau.

Wieczorem drugiego dnia powrócił stary hrabia Mironeau z podróży. Pierwszy przywitał go na schodach jeszcze, syn.

— Pójdź ze mną, ojciec! — rzekł, zanim tenże miał czas zdjąć kapelusz i płaszcz. Jednakowoż, przeczuwając, że syn ma mu coś ważnego do powiedzenia, nie opierał się, ale poszedł za nim.

— Cóż się stało takiego? — zapytał, kiedy już obydwoj znaleźli się w pokojach hrabiego Jana.

— Nic! — odparł Jan oschle.

— Więc pocóż mnie tu prowadziłeś?

— Chciałem ci tylko przedstawić miłego, zanego gościa, którego obecność napewno cię ogromnie ucieszy.

— Zaciekawiasz mnie, Janie! — zawołał hrabia wesoło. — Pospiesz się jeno z przedstawieniem mi tej osoby, bo jestem zmęczony podróżą.

— Pójdź! — ozwał się Jan i odsunął portyery, prosząc ojca do małego, bardzo jasno oświetlonego saloniku. Kiedy weszli, podniosła się ze sofy star

rannie ubrana staruszka i wpiła swój wzrok w starego hrabiego, który się do niej zbliżył na odległość trzech kroków może. Hrabia Jan pobiegł szybko ku niej i wzięwszy jej rękę, ozwał się z wymuszoną jowialnością:

— Przedstawiam ci, mój ojciec, twoją kochaną bratową, hrabinę Maryę Mironeau.

Próżnobyśmy się starali odmalować wrażenie, jakie te słowa wywarły na starego hrabiego. Jak gdyby piorun przed nim przeleciał, stanął ten siwy zbrodniarz, błąd, bez ruchu, jak słup. Oczy mu zagasły, tylko wargi drżały nerwowo, nie mogąc wydać ani jednego dźwięku ze ściśniętego wściekłością gardła.

— Nuże, podajże przecie kochanej bratowej rękę na przywitanie! — zawołał Jan, wybuchając nem szyderczym śmiechem.

— Chłopcze! — wrzasnął ojciec. — Jesteś szatanem i bądź przeklęty na wieki!

Jan chwycił go silnemi rękoma za ramiona.

(Dokończenie nastąpi).